

ANNA K. BANDURSKA

TAJEMNICA LAZUROWEGO ZAMKU

TOM 2 CYKLU *NAD SEKWANA*

Miłość, zdrada i tajemnica
z przeszłości, której echo pobrzmiewa
w zamkowych murach



ANNA K. BANDURSKA

TAJEMNICA
LAZUROWEGO
ZAMKU

TOM 2

NAD SEKWANĄ



Copyright © 2026 by Anna K. Bandurska
Copyright for this edition © 2026 by Grupa Wydawnicza Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej

KOREKTA: Katarzyna Szajowska

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-661-5

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-662-2

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-663-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.
Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do
osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie
przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Część pierwsza: Doktor Ludwik Lefebvre](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Część druga: Krnąbrna arystokratka

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

CZĘŚĆ PIERWSZA:
DOKTOR LUDWIK LEFEBVRE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Waterloo, czerwiec 1815 rok

Ranny mężczyzna podniósł umęczoną twarz. Nadal szumiało mu w głowie od huku wystrzałów stacjonującej nieopodal baterii artyleryjskiej. Wypluł wstrętną lepłą ciecz z ust i spojrzał przed siebie. Na tle płonącego czerwienią zachodzącego słońca ujrzał złociste połacie dojrzewającego jęczmienia, skropione krwią poległych od angielskich kul Francuzów. Jak przez mgłę widział nielicznych gwardzistów, broniących się przed niespodziewanym atakiem żołnierzy Wellingtona. Grad angielskich kul rył bruzdy w ziemi tuż obok mężczyzny. Raz po raz na wilgotne po wczorajszym deszczu pole padało ciało gwardzisty, jeszcze niedawno dumnie krocącego przy dźwiękach bojowego marszu. Chwilę temu przechodzili obok Napoleona, którego witali okrzykiem *Vive l'Empereur!*"*. Teraz jęki ciężko rannych żołnierzy brzmiały jak smętna, mroczna melodia. Brudnymi od błota i krwi rękoma próbował chwycić swój bagnet i podnieść się, ale gdy tylko zgiął kolano, jego ciało przeszył ogromny ból. Chwycił dłonią obolałe miejsce i wymacał poszarpane od kuli udo. Piekło jak diabli, a jego dłoń pokryła się zaraz krwią. Dostał, i to mocno. W takim stanie nie da rady stawić czoła wrogowi. Poczłogał się parę metrów, sycząc z bólu i wycelował broń przed siebie. Wystrzelił i miał wrażenie, że od jego kuli pada jakiś młody Anglik. Zaraz jednak odpowiedziała mu salwa kilkunastu strzałów. Skulił się, ponownie kryjąc twarz w błotnistej ziemi, która rozpryskiwała się na wszystkie strony od wystrzeliwanych kul. To koniec. Nie uda im się przełamać tego

niespodziewanego ataku, muszą się wycofać, nim Anglicy wystrzelają ich jak kaczki.

– *La Garde recule!*** – krzyknął zachrypniętym głosem. – *La Garde recule!* – powtórzył.

Na tę komendę ziemia obok niego zadrżała. Wśród zdezorientowanych okrzyków zaczął się gorączkowy odwrót gwardzistów, a wycofujący się żołnierze zaczęli kierować się z dala od Mont-Saint-Jean, pociągając za sobą inne oddziały. Mężczyzna ponownie próbował wstać. Tym razem podniósł się i przeszedł kilka kroków, zasyczał głośno z bólu i opadł na kolana. Kręciło mu się w głowie. Czuł, że mocno krwawi. Wtem wśród ogólnego zamieszania pochwyciła go para silnych dłoni.

– Generale, generale, czy może pan iść? – spytał głos.

Ranny jedynie zaklął.

– Generał Beaumont jest ranny. Pomóż mi! – rozkazał jego wybawca drugiemu żołnierzowi.

Zaraz dwóch gwardzistów uniosło na wpół przytomnego mężczyznę. Wzięli go pod pachy i ponieśli do obozu.

Generał Beaumont przedzierał się przez mgliste, spowite czernią nocy pole, pokryte stosami trupów. W bladym świetle księżyca widział, jak w oddali kolejni żołnierze padają jeden po drugim od kul nieprzyjaciela. Pobiegnął tam i wśród stosów ofiar próbował dojrzeć kogoś żywego, ale gdy podnosił bezwładne ciała, spoglądały na niego martwe oczy. Rozejrzał się wokół siebie, dysząc. Ich sztandar był już tylko strzępem, stosy trupów piętrzyły się jak okiem sięgnąć, a porzucone karabiny zdawały się bezużytecznymi kawałkami drewna. Niewypowiedziana groza unosiła się nad całym polem walki. Beaumont miał wrażenie, że pośród czerni nocy

widzi majaczące widma, półprzezroczyste sylwetki jeźdźców, zarysy armat i piętrzące się wśród traw trupie czaszki. Nagle dało się słyszeć, jak nieprzyjaciel ładuże działa. Zapalane lonty armat, rozświetlając nocne niebo, były jak ślepia osaczających go dzikich zwierząt. Biegł na oślep, próbując od nich uciec, ale wielkie kule ze świstem spadały tuż przed nim.

Ocknął się w przestronnym namiocie. Na zewnątrz było już ciemno i zrozumiał, że śnił. Ale czy na pewno? Miał zabandażowane pół twarzy i unieruchomioną nogę, a zdarzenia minionego dnia wydawały mu się straszliwą marą. Uniósł się lekko na łokciach. W pomieszczeniu było duszno, a blade światło lamp naftowych ukazywało makabryczny widok. Wokół leżało wielu ciężko rannych, jęczących z bólu, a dwójka sanitariuszy uwijała się wokół, zajmując się najciężej poszkodowanymi. Za chwilę do namiotu wpadł medyk i pospiesznie sprawdziwszy stan nowo przybyłych, podszedł do jakiegoś młodzieńca o bladej twarzy, który majaczył coś niezrozumiale.

– Tego przynieście do namiotu operacyjnego. Trzeba amputować mu nogę – rzekł, spoglądając na kończyny chłopaka. – Tego tutaj nie da się już uratować. – Wskazał na innego. – Lepiej zawołacie do niego księdza.

Mężczyzna opadł na posłanie, z trudem łapiąc powietrze.

– Przegraliśmy tę bitwę, czyż nie? – jęknął do leżącego obok z zamkniętymi oczami na wpół przytomnego żołnierza. Ten jednak nie odpowiadał, a z jego ust dobył się świszczący oddech. Generał odwrócił się i wlepił wzrok w poszycie namiotu, miarowym oddechem próbując walczyć z ogromnym bólem głowy i pieczeniem w ranie. Nagle dojrzał nad sobą cień.

– Generale Beaumont, jak się pan czuje? – Usłyszał.

– Przynajmniej żyję. Inni nie mieli tyle szczęścia – odparł.

W tym momencie dał się słyszeć mrozący krew w żyłach jęk młodzieńca, któremu właśnie amputowano nogę. Generał przełknął ciężko ślinę. Spojrzał w kierunku postaci, która nad nim stała. Rozpoznał jednego ze swoich żołnierzy.

– Jaki jest bilans bitwy? Jaki wynik? Czy nadal trwają walki?

– Walczą już chyba tylko ludzkie widma... Doszło do mnie właśnie, że pierwszy batalion pierwszego pułku strzelców pieszych Gwardii Cesarskiej generała Cambronne'a, jeden z ostatnich na polu walki, został otoczony ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela. Odrzucili propozycję kapitulacji. Otworzono więc do nich ogień... Wątpliwe, żeby ktokolwiek przeżył... To koniec.

Generał zacisnął mocno szczękę. Całe jego ciało przeszył wibrujący ból. Był wściekły. Jeszcze tego ranka wierzył bezgranicznie w zwycięstwo armii francuskiej. Nie tak to sobie wyobrażał. Nie tu planował dzisiaj być.

– A nasz wódz? Napoleon? – spytał.

– Słyszałem, że Bertrand i Bernard widzieli go na łące niedaleko Genappe, gdy zapadała już noc, jak posępny i zamyślony zawracał konia, by samotnie wrócić do Waterloo. Podobno schwytali go Anglicy. Co się z nim teraz stanie, nie wiem. My też nie jesteśmy bezpieczni. Nawet teraz krążą niedaleko korpusy pruskie i wyłapują wszystkich żywych Francuzów. Poinformował nas o tym jeden z uciekających żołnierzy.

– Niech będzie, co ma być. Nikt z nas w takim stanie nigdzie nie ucieknie.

Żołnierz rozejrzał się wokoło, by się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje, i pochylił się nad generałem.

– Jeśli chce pan szanowny generał mojej rady, to proszę nie zabawiać tutaj za długo, nawet będąc rannym. Najgorsze, co może hrabiego teraz spotkać, to niewola albo nawet śmierć.

– Dziękuję. Przemyślę to.

– Razem z pułkownikiem Mercierem wyjeżdżamy stąd, gdy tylko zacznie świtać. Jest też miejsce dla pana, panie generale. Wracamy do Francji. Kierujemy się w stronę Paryża, a potem na zachód. Powinien pan jechać z nami – naciskał żołnierz.

Ich rozmowę przerwało wejście młodego człowieka. Gdy hrabia zobaczył jego twarz, zdębiał.

– Proszę pozwolić odpocząć generałowi. Stracił wiele krwi – rzekł młodzieniec, podchodząc do posłania hrabiego. Pochylił się nad skonfundowanym mężczyzną i delikatnie odsłonił bandaż na jego głowie, by sprawdzić ranę. To samo uczynił z opatrunkiem na nodze Beaumonta.

Generał szybko podjął decyzję – wyjedzie o brzasku.

– Jeszcze raz dziękuję, Simon, proszę wrócić do mnie o świcie – przykazał żołnierzowi.

Tamten się uśmiechnął.

– Do zobaczenia, generale.

Hrabia przez chwilę studiował twarz i posturę młodego człowieka, gdy zmieniał mu opatrunek na nodze.

– Jak się nazywasz, młodzieńcze? – spytał.

– Ludwik Lefebvre – odparł tamten.

– Skąd jesteś?

– Z Reims.

– Hmm – zastanowił się hrabia. – To niebywałe, ale wyglądasz zupełnie jak ja, gdy byłem kilka lat młodszy. Dodać ci wąs i zmienić fryzurę i mało kto znalazłby różnicę. No, może tylko moja żona. – Zaśmiał się.

Lefebvre na te słowa zmarszczył lekko brwi. Spojrzał na zmęczoną, pokrytą kurzem twarz generała i ze zdziwieniem stwierdził, że rzeczywiście

widzi pewne podobieństwo. Gdy pomagał w opatrywaniu Beaumonta parę godzin temu, nie przyszło mu to nawet do głowy.

– Jak długo jest pan sanitariuszem? – pytał dalej hrabia.

Mężczyzna w odpowiedzi się uśmiechnął.

– Byłem nim, dopóki nie ukończyłem studiów lekarskich. Właściwie to jestem dość świeżo upieczonym medykiem. U doktora Simonsa miałem ostatnie praktyki, przez niemal cztery lata. Od niedawna mogę samodzielnie przeprowadzać operacje. Tutaj zostałem od razu rzucony na głęboką wodę, jeśli mogę to tak nazwać.

– Czy to pan operował mi nogę?

– Tak, ja. Ma pan wiele szczęścia, że nie wdała się gangrena. Co prawda może już pan nigdy nie odzyskać pełnej sprawności, bo rana i złamanie były dość rozległe, ale przynajmniej nadal ma pan nogę. Dla innych los był mniej łaskawy.

Hrabia pokiwał ze zrozumieniem głową, wspominając młodego żołnierza, którego zabrano wcześniej, aby amputować mu kończynę.

– Tak, poszczeniło mi się, to prawda. Ile ma pan lat?

– Trzydzieści jeden.

– Trzydzieści jeden – powtórzył Beaumont. – To ledwo sześć lat mniej niż ja... A czy praca medyka w wojsku podoba się panu?

– Podoba, nie podoba, tutaj jestem potrzebny. Niech pan już nie mówi, bo muszę zmienić opatrunek na głowie. Nie chcę, żeby pana bolało – przerwał mu młodzieniec.

Hrabia śledził bacznie ruchy mężczyzny, gdy ściągał zakrwawiony bandaż i przemywszy ranę, zakładał świeży.

– Gotowe. A teraz wybaczy pan, ale muszę spieszyć do kolejnych pacjentów. Mamy mnóstwo pracy – rzekł medyk, wycierając dłonie w fartuch.

– Niech pan poczeka – powiedział prędko Beaumont, chwytając Lefebvre’a za rękaw.

Ten spojrział na niego zdziwiony.

– Niech pan poczeka – powtórzył hrabia. Wskazał na brzeg posłania i poprosił, aby młodzieniec usiadł.

– W czym mogę jeszcze pomóc? – spytał Lefebvre. Spojrział po jęczących z bólu żołnierzach.

– Jest pan dobrym lekarzem, z powołania, jak widzę, nie dla samych korzyści. To ważne.

Młody medyk skinął lekko głową, zmieszany.

– Mam dla pana pewną propozycję – ciągnął Beaumont. – Tak się składa, że poszukuję do swojego majątku lekarza. Teraz, z taką kontuzją nogi, będę potrzebował stałej opieki. Zapłacę panu. Oferuję sutą pensję. Warunek jest jeden: musi pan zamieszkać w moim zamku – Château d’Azur. Ma pan żonę, dzieci?

– Nie mam. Ale, generale Beaumont... Taką propozycję musiałbym przemyśleć. Zresztą nie mogę pozostawić rannych samym sobie – odparł mężczyzna, nie kryjąc zakłopotania.

– Daję panu czas do świtu. Będzie miał pan całą noc, aby wszystko przemyśleć. Ale proszę pamiętać, że nigdzie pan nie zarobi tyle, co u mnie. Zapewnię też panu przestrzeń do nabycia dalszego doświadczenia, kontakt z najlepszymi w swoim fachu – przerwał mu hrabia. – No i nie zabiorę pana od razu. Zdąży pan zająć się wszystkimi rannymi. Zresztą ta wojna wkrótce się zakończy... Sądzę, że to była ostatnia bitwa. Ostatnia bitwa Napoleona. Za tydzień, za dwa nic tu będzie po panu.

Lefebvre pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Dobrze, dam panu odpowiedź jeszcze dzisiejszej nocy – odparł.

Skończywszy krzątanie się przy umierających i ciężko rannych pacjentach, Ludwik przysiadł przed namiotem, ocierając chusteczką spocone czoło. Spojrzał na rozgwieżdżone niebo. Myślał o swojej schorowanej matce i ojcu, żyjących w skromnym domu na obrzeżach Reims. O młodszym bracie, któremu marzyła się własna łódź i kariera marynarza. Gdyby przyjął propozycję hrabiego, mógłby pomóc im wszystkim, spełnić ich marzenia. Tymczasem tyra dzień i noc, by spłacić długi i się utrzymać. Czy takiego życia chce na co najmniej kilka najbliższych lat dla siebie i swoich bliskich? Zamknął oczy i westchnął przeciągle. Nie, nie może stracić takiej szansy. Wrócił do namiotu. Hrabia nie spał. Leżał na pościeli, paląc podaną mu przez kogoś z żołnierzy fajkę i wpatrując się w sufit.

– Generale Beaumont, przyjmuję pańską propozycję – powiedział Lefebvre.

Beaumont wyjął fajkę z ust i się uśmiechnął.

– Dobra decyzja. Za jakieś dwa miesiące, najwyżej trzy, pošlę po pana do Reims. Proszę mi zostawić swój adres.

* fr. Niech żyje cesarz!

** fr. Gwardia się wycofuje!

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy niewielki powóz wyjeżdżał polną drogą z gęstego lasu w kierunku rozległego jeziora, był jeszcze wczesny ranek. Ludwik Lefebvre wychylił głowę przez okno, wdychając rześkie, pachnące rosą, igliwem i lawendą powietrze. Uniósł głowę ku słońcu, aby ogrzać się w jego ciepłych promieniach. Wtedy zza rzędu majestatycznych sosen jego oczom ukazała się najpierw skąpana w porannym świetle wieża i biała ściana warowni, potem zaś cała część północna zamku, wyrastająca jak głowa czapli z jeziora. Położona na spokojnej turkusowej toni rozległa wysepka wydawała się oazą spokoju, a zbudowany z piaskowca zamek był niczym perła zamknięta we wnętrzu muszli.

– Château d'Azur – powiedział cicho, jakby sam do siebie.

– Tak, drogi panie, zbliżamy się na miejsce – wtrącił woźnica. – Musimy tylko przejechać przez most – dodał, a wkrótce powóz zaczął turkotać po ciasno ułożonych drewnianych belkach. Jechali tak kilka minut, a Ludwik obserwował zbliżającą się ku nim niczym głowa olbrzyma budowlę. Jej fasada rzucała ogromny cień na połyskujący w dole lazur wody. W końcu pojazd zatrzymał się pod szeroką bramą, chronioną broną*. Rosły mężczyzna podszedł do niej i zobaczywszy woźnicę, wystawił dłoń przez kraty, bez słowa prosząc o papiery. Pan Petite podał jakiś świstek, a stróż, odczytawszy go, pomachał ręką komuś w wieży. Za chwilę potężna żelazna krata zaczęła się podnosić ku górze. Minęli pierwsze zabudowania i wjechali na rozległy plac, który z każdym metrem wznosił się coraz wyżej ku górze. Ich oczom ukazała się główna część zamku – imponujących

rozmiarów budowla z czterema okrągłymi wieżyczkami i eleganckim dziedzińcem. Na przyjezdnych czekała już tam grupa służących, którzy zabrali pakunki Lefebvre'a, a elegancko ubrany kamerdyner zwrócił się do niego z uśmiechem:

– Panie doktorze, hrabia Beaumont już czeka. Proszę za mną.

Ludwik ruszył za mężczyzną bez słowa. Wspiął się za nim po długich schodach na drugie piętro budowli. Zamek zachwycał przepychem i rozmiarami. Przyzwyczajonemu do prostoty lekarzowi przypominał bezkresny tunel, pełen zbytków i artefaktów przeszłości. Minęli długie korytarze, a gdy kamerdyner otworzył w końcu jedne z drzwi, oczom Ludwika ukazał się wielki salon z rzeźbionym kominkiem pośrodku. Na jednym z foteli, tuż pod olbrzymim oknem, siedział jego gospodarz. Na widok przybysza wstał powoli, opierając się na lasce. Uśmiechnął się szeroko.

– Doktorze Lefebvre, witam w Château d'Azur. Jak dobrze pana tu widzieć! Jak podróż? – spytał, wyciągając dłoń w kierunku gościa.

– Znośna, choć długa – odparł medyk, ściskając dłoń hrabiego. – Jak noga, panie hrabio?

– Lepiej, aczkolwiek jeszcze nie w pełni sprawna. Rana goi się dobrze, spędziłem niemal trzy miesiące u wód. Teraz pan będzie mnie tu doglądał.

– Obawiam się, że będzie pan hrabia już na mnie skazany – odparł Ludwik z uśmiechem. Potem rozejrzał się wokoło. – Imponujące! – zawołał.

– Cóż takiego?

– Te malowidła i witraże. Niesamowity kunszt.

Hrabia usiadł powoli w fotelu. Odłożył laskę i wraz z Ludwikiem przebiegł wzrokiem po wnętrzu.

– To prawda. Ten zamek ma długą historię. Choć był ze dwa razy przebudowywany, starałem się zachować wszystkie dzieła sztuki w stanie nienaruszonym. Więcej malowideł ściennych można odnaleźć w bawialni i kilku innych komnatach reprezentacyjnych.

– Z chęcią je zobaczę.

Beaumont zaśmiał się na te słowa.

– Na wszystko przyjdzie czas. Teraz lokaj wskaże panu pokój. Potem zapraszam na śniadanie. Nie musi się pan spieszyć, proszę się najpierw odświeżyć i oswoić z miejscem.

Godzinę później Ludwik Lefebvre siedział już w swojej sypialni. Miał z niej znakomity widok na ogród i całą zachodnią część wysepki. Zostawiwszy swoje rzeczy na łóżku, stanął przy oknie. Uchylił je lekko, a rześkie powietrze owiało mu twarz. Usłyszał roześmiany głos kobiety, dochodzący z dołu. Wyjrzał na zewnątrz. Wśród równo przyciętych krzewów bukszpanu ujrzał parę spacerujących kobiet. Jedna z nich trzymała książkę i czytała na głos. Druga zdawała się powtarzać tekst, namiętnie odgrywając jakieś scenki. Żywej gestykulacji towarzyszyły taneczne przytupy i wirowanie wokół drzew. Medyk uśmiechnął się na ten widok. Gdy kobieta przystanęła, ze śmiechem unosząc oblicze ku słońcu, Ludwik dojrzał jej twarz. Piękną, młodą, okraszoną rumieńcem. Jasne loki delikatnie wysuwały się spod kapelusza i iskrzyły w słońcu niczym złoto. Kim była ta cudna niewiasta? Jego rozważania przerwało pukanie do drzwi.

– Panie doktorze, śniadanie podano – odezwał się damski głos.

Ludwik spojrzał po raz ostatni na piękną kobietę za oknem i bez słowa ruszył za pokojówką na pierwsze piętro.

Jadalnia była równie imponująca jak reszta pomieszczeń. Długi na kilkanaście metrów stół został ozdobiony świeżymi bukietami kwiatów i trzema świecznikami. Przygotowano dla niego nakrycie niedaleko gospodarza. Chwilę później służąca wniosła aromatyczną kawę i śmietankę oraz świeże rogaliki.

– Jak podoba się panu pokój? Czy wygodny, wystarczająco jasny? – spytał hrabia i upił łyk parującego napoju.

– Tak, pokój jest idealny. Podoba mi się szczególnie widok z okna. Na park – odparł, ale zaraz odchrząknął nerwowo, bo do pomieszczenia wpadła nagle piękna postać kobieca. Lefebvre rozpoznał w niej kobietę z ogrodu.

– Moja droga Brygido, jesteś spóźniona, jak zwykle. Mogę spytać, co znów cię zatrzymało? – zwrócił się hrabia do jasnowłosej nimfy, która z gracją przeszła przez całą jadalnię i zasiadła naprzeciwko arystokraty. Ten zmarszczył brwi, nie kryjąc rozdrażnienia. Ludwik z zapartych tchem podziwiał jej niezwykłą urodę: bujne, kręcone blond włosy spięte na karku, wydatne koralowe usta, smutne szare oczy.

– Zażywałam rannego spaceru. Czy to takie dziwne? Lekarz zalecił mi dużo ruchu, nie pamiętasz? – odparła kobieta, nie patrząc na swojego rozmówcę. Gdy podniosła wzrok i ujrzała gościa, zbladła. Przez kilka długich sekund studiowała twarz pana Lefebvre'a

– Kto to? – wymamrotała po chwili. – Nie mówiłeś, że mamy gości...

– Oczywiście, że cię uprzedzałem. Już kilka tygodni temu, nie pamiętasz? – odparł Beaumont szorstko. – Brygido, pozwól, że ci przedstawię naszego nowego lekarza, pana Ludwika Lefebvre'a. Przybył tutaj aż z Reims.

Ludwik wstał i się uklonił. „A więc to musi być małżonka hrabiego” – pomyślał.

– Z Reims? Czy nie było lekarzy w Orleanie lub w Le Mans? – spytała kobieta, ignorując gościa.

– Moja droga, czy nie stać cię na dobre maniery? Mogę zatrudnić pracowników, skądkolwiek zechcę – syknął Beaumont gniewnie. – Panie Ludwiku, to moja droga małżonka, Brygida. Proszę wybaczyć jej zachowanie. Widocznie ma zły dzień.

Lekarz odsunął krzesło i okrążył stół, by podejść tam, gdzie siedziała kobieta. Hrabina podsunęła dłoń do ucałowania.

– Bardzo mi miło panią poznać. Słyszałem o pani wiele dobrego – rzekł Ludwik trochę nieszczerze, pragnąc wyrzeć na niej dobre wrażenie.

– Dziękuję panu, ale jest pan mizernym kłamcą – szepnęła w odpowiedzi, przywołując na twarzy grzeczny uśmiech.

Lefebvre z zachwytem stwierdził, że dzięki temu jej twarz nabiera jeszcze większego blasku, jakby nagle skupiły się na niej wszystkie promienie porannego słońca, wpadające przez okna.

– Niech szczenę, jeśli nie jest pani warta każdego z pochlebstw, jakimi można obsypać płęć niewieścią – odparł, sam dziwiąc się swojej śmiałości.

Kobieta splonęła rumieńcem. Lekarz wrócił na swoje miejsce, by dalej w ciszy spożywać śniadanie. Hrabina pospiesznie zjadła niewielki omlet i popiła go kawą ze śmietanką.

– Niech mi panowie wybaczą. Spieszę się na poranne nabożeństwo – rzekła, zerwała się z krzesła i nie czekając na odpowiedź, ruszyła ku wyjściu.

Ludwik wstał z szacunkiem, odprowadzając kobietę wzrokiem zdziwionym i pełnym podziwu jednocześnie.

– Moja żona jest trochę... no cóż, postacią osobliwą. Stroni od gości, nowych twarzy. Proszę jej wybaczyć – rzekł hrabia, nawet nie spoglądając w kierunku drzwi, jakby nagłe wyjście hrabiny nie zrobiło na nim wrażenia.

– Jeśli pan skończył posiłek, to bardzo chciałbym pokazać panu zamek. W końcu to będzie pana nowy dom.

Powiedziawszy to, Beaumont powoli podniósł się z krzesła i chwycił laskę zakończoną złotą kulą.

– Zaczniemy od pomieszczeń reprezentacyjnych – rzekł, gdy opuścili jadalnię.

Lekko kulejąc, zaczął oprowadzać Ludwika po zamku. Zwiedzili ogromną salę balową, ozdobioną greckimi rzeźbami, której podłogę stanowiły misterne mozaiki. Przeszli przez okazałą bibliotekę ze ścianami wysłanymi arrasami. Gospodarz nie omieszkał pokazać również swojego gabinetu, w którym gromadził liczne trofea, medale i odznaczenia z wojen napoleońskich, a także pamiątki z podróży po Afryce. Na końcu zeszli na najniższe kondygnacje zamku.

– Tu, w głębi korytarza, są kuchnia, jadalnia i pomieszczenia gospodarcze. Mój lokaj Fabian oprowadzi tam pana później. Teraz chciałem pokazać panu piwniczkę, moją dumę!

Hrabia poprowadził lekarza kolejnym korytarzem do części północnej zamku. Gdy stanęli przed masywnymi drewnianymi drzwiami, chwycił w rękę lampę naftową. Odsunął rygiel, a drzwi uchylły się ze zgrzytem. Dotarł do nich powiew chłodnego powietrza.

– Proszę uważać. Schody są dość kręte – zaznaczył Beaumont, gdy zaczęli kierować się w dół, do podziemi. Z każdym stopniem czuć było narastający chłód i wilgoć. W końcu oczom lekarza ukazały się dziesiątki półek wypełnionych równo ułożonymi butelkami wina. Na podłodze ustawione były beczułki.

– W moich włościach znajdują się dwie znakomite winnice. Wino i koniak kolekcjonuję od co najmniej dwunastu lat, mój ojciec przez

większość życia przywoził tutaj najlepsze roczniki i gatunki z całego kraju. Znajdzie tu pan też wyśmienite gatunki szampana.

Lefebvre rozejrzył się wokoło. Rzeczywiście, kolekcja trunków hrabiego była imponująca. Jego uwagę zwróciło jednak coś innego – kolejne drzwi tuż przy jednej z półek. Wydawały się zamknięte na kłódkę.

– Wspaniała kolekcja, wieszając dobrego gustu – rzekł, odwracając wzrok od tajemniczych drzwi. Przeszedł się między półkami, przeglądając roczniki win i biorąc w dłonie pojedyncze butelki.

– A te drzwi? Czy to kolejna piwniczka? – spytał, odkładając szampana rocznik 1802 i wskazując w głąb pomieszczenia.

Hrabia przelotnie spojrzył w tamtym kierunku.

– To? To stara komórka na narzędzia i rupiecie – odparł, po czym podszedł do jednej z półek. Przebiegł po niej wzrokiem i wyciągnął wybraną butelkę. Przetarł ją rękawem koszuli.

– Augier, rocznik tysiąc osiemset siedem. Sądzę, że będzie w sam raz na dzisiejsze popołudnie. Musimy jakoś uczcić pana przyjazd do Château d’Azur – rzekł z uśmiechem i przekazał trunek lekarzowi. – Tymczasem mam dla pana niespodziankę – dodał, opierając się na lasce.

– Jaką?

– To nic wielkiego. Po prostu przygotowałem dla pana skromny gabinet. Proszę iść za mną.

– I jak się panu podoba? – spytał hrabia, gdy stali w dość surowo urządzonej sporym pomieszczeniu, wypełnionym przeszklonymi szafkami. W każdej z nich znajdowały się butelki i karafki pełne różnych specyfików. Na środku stało niewielkie biurko, dwa krzesła, a obok

drewniany stół operacyjny ze skrzyneczką wypełnioną trocinami. Z boku ustawiono stołek i stolik do opatrywania, a na nim narzędzia chirurgiczne, ułożone schludnie na tacy.

– Włożył pan w to miejsce sporo wysiłku. Dziękuję – odparł lekarz, zdziwiony, jak dobrze pan Beaumont przewidział, co będzie potrzebne medykwowi na prowincji.

– Większość sprzętu pozostała po naszym poprzednim doktorze. A jeśli trzeba będzie zakupić coś nowego, to żaden problem. Proszę też sprawdzić apteczkę. Niektóre specyfiki mogą nadawać się już tylko do wyrzucenia. W miejskiej aptece znajdzie pan wszystko, co potrzebne. Jeśli pan sobie życzy, wybierzemy się tam jutro.

Lefebvre przebiegł wzrokiem po wnętrzu kredensów z lekami. Otworzył jeden z nich i przejrzał jego zawartość. Potem wziął w dłoń kawałek papieru i z błyskiem w oku zaczął spisywać, czego brakuje i czego nie ma w wystarczających ilościach. Hrabia chrząknął demonstracyjnie.

– Na pełen spis lekarstw jeszcze będzie czas. Miałem nadzieję, że zbada mnie pan jako pierwszego pacjenta.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Ludwik, odkładając pióro i kałamarz. – Niech pan usiądzie na krześle, tu, przy oknie. Zbadam pańską nogę i obejrzę głowę.

Po chwili już odwijał bandaż. Przyjrzał się ranie, którą operował jakiś czas temu w szpitalu polowym na polach Waterloo.

– Pańska noga wygląda przyzwoicie. Rana goi się bardzo dobrze, ale zalecam dużo odpoczynku. Później potrzebna będzie pewnie rehabilitacja. Rana na głowie jest już praktycznie zagojona.

– To wspaniałe wieści, dziękuję.

Kiedy hrabia zaczął poprawiać odzienie, Ludwik zadał dręczące go od kilkunastu minut pytanie.

– Hrabio Beaumont, co się stało z poprzednim lekarzem? I dlaczego tak naprawdę zaproponował mi pan tę posiadłość?

Gospodarz się uśmiechnął.

– Panie Ludwiku, zatrudniłem pana, bo nie boi się pan wyzwania, a i zaimponował mi pan profesjonalizmem i opanowaniem, mimo pańskiego młodego wieku. No i młody umysł otwarty jest na nowe rozwiązania, na wiedzę, innowacje. Chcę dać panu szansę na rozwój. Nasz poprzedni lekarz zmarł po wielu latach pracy tutaj. Pracował dla nas bardzo długo.

– Rozumiem.

– A teraz, jeśli nie ma nic pan przeciwko temu, chciałbym, aby zbadał pan również moich pracowników. Nie było mnie tu przez wiele miesięcy z powodu wojny i chcę się upewnić, że wszyscy są w pełni sił.

– Oczywiście. Od kogo mam zacząć?

– Od służby zamkowej: mojego lokaja, kucharza, służących w zamku. Potem może pan zająć się odźwiernym, stajennym i strażnikami.

Lekarz skończył krótko przed kolacją. W międzyczasie zjadł szybko obiad, a gdy kończył robić spis leków w apteczce, zachodziło słońce. Zmęczony długim dniem postanowił wrócić do pokoju i przygotować się do wieczornego posiłku. Chwycił brulion, w którym zapisał wszystkie notatki i obserwacje i ruszył przez ogród ku głównej części zamku. Gdy zamyślony mijał rząd równo posadzonych krzewów róż, zauważył światło w jednej z komnat na pierwszym piętrze. We wnętrzu pokoju na jego oczach rozgrywała się zachwycająca scena – Brygida Beaumont przygotowywała się do kąpieli. Wielkie szerokie okno było tylko lekko przesłonięte przezroczystą tkaniną. Zapewne kobieta nie spodziewała się nikogo w tej części zamku o tej godzinie. Ludwik zastygł w miejscu, wpatrując się

z rozwartymi ustami, jak hrabina, stojąc przed lustrem, rozpuszcza długie jasne włosy, które kaskadami opadają jej na plecy, a potem powoli zdejmuje szlafroczek. Mężczyzna przełknął ślinę, przesunął się za drzewo i schował się w jego cieniu. Nieśmiało wyjrzał zza niego, a wtedy ujrzał smukłe nagie ciało pani zamku, która stała tyłem do okna, przeglądając się w zwierciadle. Lefebvre mógł podziwiać teraz jej nagie pośladki, nieco tylko zasłonięte długimi włosami. Wstrzymał oddech, kontemplując piękno kobiecego ciała. Hrabina wcierała w twarz jakiś specyfik, po czym niedbale upięła włosy na czubku głowy. Czekał z szaleńczo bijącym sercem, aż odwróci się w jego stronę, ukazując resztę swoich wdzięków, gdy do pokoju weszła służąca z dzbanem. Wlała parującą wodę do miedzianej wanny i odstawiwszy naczynie, podeszła do okna i zasłoniła ciężką zasłonę. Widowisko dobiegło końca, ale Ludwik cały czas miał pod powiekami piękne, nagie ciało hrabiny.

– Czy wszystko w porządku, doktorze Lefebvre? Jest pan jakiś nieobecny... – zwrócił się do Ludwika hrabia, gdy przejeżdżali luksusową bryczką przez rozległe włości arystokraty.

Lekarz odwrócił zamyślony wzrok od zielonych pagórków, porośniętych krzewami winorośli. W oddali majaczył las, a na horyzoncie widać było zarys jakiejś miejscowości, skąpanej teraz w różowofioletowej poświacie wczesnego poranka. Przy drodze rosło mnóstwo dzikich kwiatów w kolorze fioletu, żółci i różu, roztaczając wokół słodki zapach. Ale mężczyźnie z trudem przychodziło podziwianie cudów natury. W głowie miał jedynie obraz hrabiny, do którego wzdychał przez niemal całą noc.

– Hmm? Ach, tak, wszystko w najlepszym porządku, po prostu ciężko mi było zasnąć wczorajszej nocy. To wszystko przez tę duchotę na zewnątrz

– odparł.

– Pierwsza noc w nowym miejscu musi być trudna. A co do temperatury w zamku, no cóż, musi się pan przyzwyczaić. Latem bywa u nas gorąco, zimą zaś, nie ukrywam, męczą nas przeciągi i chłód ciągnący od jeziora. Radzę też nie spać z otwartym oknem. Komary są prawdziwą udręką – skwitował wypowiedź lekarza Beaumont. – Musi pan jednak przyznać, że okolica zamku jest urocza. Ja nie zamieniłbym tego miejsca na żadne inne.

– To prawda. Château d’Azur to cudowne miejsce – przyznał Lefebvre, odwracając wzrok ku oknu, aby ukryć rozmarzenie, które malowało się w jego oczach.

Chwilę później powóz zatrzymał się na skraju malowniczej wioski.

– To tutaj, panie Ludwiku – rzekł hrabia, wskazując na budynek z białego kamienia.

Lekarz wyszedł za Beaumontem, obserwując krzątających się wokół pracowników. Wszędzie piętrzyły się kosze pełne winogron, zwożone z pola, a później przenoszone do chłodnych pomieszczeń wewnątrz budynku. Hrabia wszedł do środka, zamieniwszy uprzednio kilka słów z zarządcą, który wyszedł mu naprzeciw. Minęli halę, wypełnioną kadziami i najróżniejszą maszynerią, gdzie trwała już praca. Ludwik zatrzymał się tam na chwilę, patrząc na kobiety przebierające winogrona przy długim drewnianym stole oraz na mężczyzn tłoczących moszcz w specjalnych prasach. Zawsze ciekawiło go, w jaki sposób wytwarza się wino. Nigdy wcześniej nie był w żadnej winnicy. Wraz z Beaumontem zeszli do piwnicy wypełnionej ogromnymi drewnianymi beczkami. Zarządca napełnił jeden z kieliszków szkarłatnym płynem i podał go hrabiemu.

– To z naszych zeszłorocznych zbiorów – powiedział, podczas gdy arystokrata wachał trunek.

Hrabia przechylił kielich i spróbował wina.

– Wyborne! – skomentował. – Zapakujcie kilka butelek dla naszego nowego medyka. Na osłodę długich nocy w zamku – polecił, uśmiechając się do Lefebvre’a.

– Panie Beaumont, naprawdę, nie trzeba – zaproponował lekarz.

– Ależ to żaden problem. Takich butelek mamy tu tysiące.

Następnie pojechali na pole, gdzie setki kobiet i mężczyzn zbierały dojrzałe winogrona. Mężczyźni przespacerowali się między rzędami winorośli. Hrabia zerwał kilka kiści winogron, by spróbować, jak smakują owoce.

– Wyjątkowo słodkie w tym roku – rzekł, jakby sam do siebie.

Potem w milczeniu objął wzrokiem wzgórze pełne winorośli.

– Panie Ludwiku – zwrócił się w końcu do lekarza. – Widzi pan, ilu ludzi tu zatrudniam. Teraz jest bardzo pracowita pora w naszych winnicach. W gorącu na słońcu zdarzają się i omdlenia. Chcę, aby doglądał pan moich pracowników, dbał o ich kondycję podczas zbiorów. Przygotuję tu dla pana punkt medyczny. Proszę mi tylko dać znać, co potrzeba.

– Oczywiście, jak najbardziej – odparł Lefebvre.

Hrabia z uśmiechem pokiwał głową.

– Widzi pan, że u mnie nie będzie brakowało panu pracy. Teraz pozwoli pan, że objedziemy resztę posiadłości. Mam jeszcze wiele wiosek.

Ruszyli ponownie w drogę. Objeżdżanie okolicznych terenów, w tym kolejnych winnic, pól pszenicy i młynów, zajęło im cały ranek, gdy wracali do zamku, było już południe. Jechali inną drogą niż poprzednio, pomiędzy bujnymi łąkami, na których wypasało się bydło. Tam minęli kilka zabudowań, a gdy powóz wjechał na niewielki drewniany most, łączący brzegi pobliskiej rzeczki, na ich drodze stanął nagle rosły, choć wychudły mężczyzna. Koń zarżał nerwowo, a woźnica ledwo zatrzymał wóz.

– Czego chcesz? – warknął na przybysza.

– Wiem, że wiesz hrabiego Beaumonta. Proszę go tylko o wysłuchanie mnie. Córka moja jest chora. Ma gorączkę od trzech dni – rzekł mężczyzna i spojrzał z nadzieją w kierunku okna powozu. – Hrabio, proszę o pomoc. Proszę, miej litość! – krzyknął w końcu z desperacją, nie doczekawszy się żadnej reakcji.

Ludwik wziął torbę lekarską i szykował się do wyjścia z powozu. Mocny chwyt dłoni arystokraty uniemożliwił mu jednak jakikolwiek ruch. Spojrzał na swojego pracodawcę zdziwionym wzrokiem.

– Ten mężczyzna potrzebuje pomocy. Czyż nie jest pańskim poddanym?
– spytał lekarz, nie kryjąc zakłopotania.

– Zapomnij o nim. Znam go. To jeden z tych, którzy szesnaście lat temu napadli z widłami na mój zamek, chcąc śmierci mojej i moich bliskich, którzy chcieli mnie, podobnie jak innych nieszczęsnych arystokratów, wziąć na szafot. Dzięki Bogu byłem przygotowany na taką okoliczność i tylko zrządzeniem opatrności uniknąłem śmierci. Teraz brzydzę się nimi. Jeśli jego córka jest chora, to nie mój problem – wyjaśnił hrabia.

– Ale ja przyrzekałem pomagać wszystkim... Bez wyjątku.

– Teraz pracuje pan dla mnie. Ja mówię, kogo ma pan leczyć, a o kim zapomnieć. Nie wszyscy jesteśmy równi. Niektórzy nie są godni naszej uwagi. Takie jest moje polecenie – odparł surowo Beaumont, opierając się z powrotem o obite pluszem siedzenie powozu. – Florianie, ruszaj – rozkazał woźnicy.

– Z drogi, łachudro, bo ci kości porachuję! – krzyknął tamten groźnie.

Bryczka ruszyła, a wychudły mężczyzna usunął się na bok. Ze smutkiem i bezsilnością objął wzrokiem odjeżdżający pojazd.

– Moja córka umiera... Nie stałoby się tak, gdybyśmy mieli co jeść, a dach by nam nie przeciekał! – zawołał za nimi. Twarz hrabiego pozostała jednak niewzruszona.

– Wielu z tych ludzi, którzy obrócili się przeciwko monarchii, to ofiary manipulatorów, którzy obiecali im lepszy byt, złote góry. Wiem dobrze, że sytuacja biedoty wcale się nie zmieniła, a krew mimo to lała się strumieniami. Sądzę, że wielu z nich zrozumiało, iż nie tędy droga. Nie zastraszeniem, morderstwami, podpaleniami czy agresją wygrają. Może powinno się im wybaczyć. Zmiany na lepsze nastąpią tylko w wyniku reform, dyskusji międzypolecznej – powiedział Ludwik z ciężkim sercem, patrząc za oddalającą się sylwetką.

Hrabia zmarszczył gniewnie brwi.

– Łatwo jest panu mówić, gdy nie widział pan okrutnej śmierci członków swojej rodziny, nie doznał pan prześladowań. Ja dla takich jak on nie mam ani współczucia, ani litości. Niech szczeźnie! – warknął.

Lefebvre wiedział, że nic już nie wskóra. Westchnął więc tylko cicho, a po chwili, aby zmienić temat rozmowy i tym samym załagodzić atmosferę, zaczął wypytywać o historię zamku. W jego głowie jednak wciąż krążyły myśli o tym, jak pomóc wszystkim mieszkańcom okolicy. Także tym, którymi jego pracodawca gardzi.

Następnego dnia Ludwik zbudził się wcześniej rano. Bryczka zawiozła go do winnicy, gdzie od rana do późnego popołudnia uwijali się pracownicy hrabiego, zatrudnieni przy zbiorze winogron. Lekarz ulokował się w chłodnym pomieszczeniu na zapleczu winiarni, skąd miał widok na całą okolicę. Z zamyśleniem obserwował rzędy winorośli, pagórki i mieniącą się srebrzyście toń oddalonej o parę kilometrów rzeki. Przyszło mu do głowy, że przyda się bardziej na zewnątrz niż w środku. Wyszedł więc na powietrze i usiadłszy w cieniu, delectował się ciszą i harmonią doliny Loary. Jakże miejsce to różniło się od pól Waterloo, gdzie był świadkiem

ogromnego cierpienia, a każdy polowy szpital miał tam woń śmierci i rozpacz. Nawet tutaj wciąż nawiedzały go koszmary z pola bitwy, widok kalek, krzyki żołnierzy, którym amputowano kończyny, umierających z powodu ciężkich ran w przepelnionych namiotach. A tu spokój, cisza, życie...

– Panie doktorze, kobieta zasłała. – Usłyszał za plecami.

– Gdzie?

– Na polu.

– Proszę mnie tam zaprowadzić.

Chwycił w dłoń swoją torbę i ruszył za młodym mężczyzną. Po kilku minutach wyszli na niewielkie wzniesienie, gdzie otoczona wianuszkami innych kobiet leżała dwudziestoletnia może dziewczyna, bardzo ładna. Na widok medyka tłum się rozstał. Ludwik ukląkł na ziemi i widząc bladą twarz oddychającej z trudem kobiety, chwycił za jej nadgarstek, by zmierzyć puls. Wtedy dostrzegł, że pod warstwą hałek i suknią dziewczyna kryje dość wypukły brzusek. Spojrzał ze zdziwieniem na ludzi dookoła.

– Co się stało? – spytał.

– Niosła kosz z winogronami i nagle zasłała – odparł ktoś.

– Ta kobieta jest w ciąży. Nie powinno jej tutaj być. Ciężka praca fizyczna nie jest dla niej. Wygląda do tego na odwodnioną. Gdzie jest jej mąż, jej rodzina? – spytał, marszcząc z niesmakiem brwi.

– Ona nie ma męża. Jej ojciec jest kaleką. Stracił nogę w wojnach napoleońskich. Z matką jest pokłócona. – Usłyszał w odpowiedzi.

Westchnął przeciągle i spojrzał ze współczuciem na dziewczynę.

– Pomóżcie mi, trzeba zabrać ją w cień. Powinna odpocząć.

Przenieśli kobietę do budynku, gdzie ułożono ją na prowizorycznym łóżku w tymczasowym gabinecie doktora. Lefebvre napełnił szklanek świeżą wodą i podał ją ciężarnej. Wypiła kilka łyków.

– Dziękuję – wymamrotała.

– Nie ma za co. Jak ma pani na imię?

– Judyta.

– Judyto, jako lekarz muszę zwrócić uwagę, że nie powinna pani pracować w takim stanie – odparł.

Kobieta popatrzyła na Ludwika pięknymi niebieskimi oczami.

– Nie mam wyboru. Jakoś trzeba zarobić na chleb.

– A ojciec dziecka? To on powinien teraz o was zadbać.

Dziewczyna zagryzła lekko wargę i odwróciła twarz w bok.

– Nie mogę na niego liczyć. Jestem sama – rzekła smutno.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Rozumiem. Jeśli jednak będzie pani nadal tak ciężko pracować, to w końcu urodzi pani dziecko na środku pola... Porozmawiam z hrabią, aby zarządca przydzielił pani lepsze zajęcie.

Kobieta chwyciła dłoń medyka.

– Proszę nie mówić nic o mnie hrabiemu. On nie wie, że tu jestem – rzekła, wpatrując się w Lefebvre'a przestraszonymi oczami.

– Nie rozumiem...

Bez słowa opadła ciężko na posłanie. Ludwik się zamyślił.

– Obiecuję, że nie wspomnę pani imienia. Napomknę tylko ogólnie, że kobietom w ciąży i starszym zalecam krótsze godziny pracy, częstsze odpoczynki, a dźwiganie koszy powinno należeć do mężczyzn.

– Jak pan uważa – odparła z westchnieniem. – Tymczasem przepraszam, powinnam wrócić do pracy – dodała, z trudem ponosząc się z posłania.

– Nie zalecam... Powinna pani odpocząć. Dopiero co leżała pani omdlała. Poproszę, aby ktoś zawiózł panią do domu – zaproponował

medyk, próbując ją powstrzymać.

– Dziękuję za radę, ale pieniądze same się nie zarobią. A ja ich bardzo potrzebuję... Strata dniówki to dla mnie zbyt dużo – odparła kobieta, kierując się w stronę drzwi.

– Proszę pozwolić mi przynajmniej odwiedzić panią w domu po skończonym dniu. Gdzie pani mieszka? – naciskał Ludwik.

– W wiosce niedaleko rzeki, parę kilometrów na wschód stąd.

Gdy późnym popołudniem Lefebvre jechał w odwiedzinach do swojej pacjentki, zauważył, że kobieta mieszka w okolicy, gdzie poprzedniego dnia zatrzymał powóz zdesperowany mężczyzna.

Kiedy skończył badać ciężarną dziewczynę, wcisnął jej dyskretnie w dłoń trochę pieniędzy, które miał odłożone od czasu powrotu z Waterloo.

– Nie mogę tego przyjąć – zaproponowała.

Ludwik objął w odpowiedzi jej otwartą dłoń, na której w bladym świetle chylącego się ku zachodowi słońca mieniły się srebrzystym blaskiem monety. Zamknął ją w pięść.

– Proszę. To dla pani dziecka. Powinna pani jeść teraz więcej mięsa, jajek, warzyw, pić więcej mleka. Na samej kukurydzy i chlebie dziecko nie przybierze na wadze – dodał, obejmując wzrokiem resztki jedzenia na stole.
– A chyba chce pani urodzić zdrowego malucha?

Kobieta na te słowa westchnęła przeciągle, a jej oczy zamglily się łzami.

– Niech pan nie myśli, że jestem jakąś tam ladacznicą, że oddałam się pierwszemu lepszemu. On mówił, że mnie kocha, obiecywał złote góry. Byłam głupia – powiedziała łamiącym się głosem.

– Przykro mi to słyszeć i bardzo mi wstyd za tak wstrętne zachowanie kogoś, kto sam siebie nazywa mężczyzną. Proszę mi wierzyć, nie wszyscy są tacy.

Powiedziawszy to, pozbierał zawartość lekarskiej torby i powoli szykował się do wyjścia. Wtedy ponownie przypomniał sobie o wczorajszym nieznanym. Wyjrzał przez okno, gdzie czekał na niego woźnica posłany przez hrabiego.

– Czy kojarzy pani wysokiego, wychudłego mężczyznę, który mieszka tu gdzieś niedaleko? Słyszałem o jego chorej córce. Podobno ma gorączkę – spytał po chwili zastanowienia.

Dziewczyna zamyśliła się na chwilę.

– Na myśl przychodzi mi tylko jedna osoba. Pan Vidal. Mieszka jakieś piętnaście minut stąd w dół rzeki.

– Jak do niego dojadę?

– Na rozwidleniu dróg wystarczy skrócić w lewo. Dom Vidala jest na końcu ścieżki – odparła kobieta.

Stojąc przed drzwiami skromnego domu na skraju lasu, doktor Lefebvre miał mieszane uczucia. Wiedział, że mimo obietnicy zachowania poufności jego woźnica może być w rzeczywistości osobą niegodną zaufania, a więc wizyta u pana Vidala mogła przynieść lekarzowi kłopoty. Jednak chęć niesienia pomocy innym i głos sumienia były silniejsze. Zapukał i za chwilę otworzyła mu skromnie ubrana kobieta, której twarz, mimo iż wyglądała na ledwo czterdzieści parę lat, naznaczona była licznymi zmarszczkami i zdradzała długotrwałe zmęczenie. Na widok mężczyzny otworzyła szeroko oczy, niepewna, czego ma się spodziewać.

– Kim pan jest i czego pan chce? – spytała.

– Nazywam się Ludwik Lefebvre. Doktor Lefebvre. Przyszedłem zbadać pani chorą córkę – odrzekł mężczyzna.

– Ale my nie wzywaliśmy lekarza. Nie stać nas na lekarza – wymamrotała zdziwiona kobieta.

W tle, gdzieś z tyłu izby, Ludwik usłyszał donośny kaszel.

– Tak, to prawda, doszły mnie jednak wieści o chorobie pani córki. Pragnę pomóc nieodpłatnie – rzekł.

– Kto panu o nas powiedział? – bąknęła pani Vidal, ale wtedy w drzwiach pojawił się jej mąż. Zmierzył doktora ponurym wzrokiem.

– Czego pan chce? Płacimy podatki, nie szukamy kłopotów... – rzucił.

– Henryku, to lekarz. Mówi, że chce zobaczyć naszą córkę – wtrąciła kobieta.

– Czy ktoś pana do nas przysłał? – spytał mężczyzna.

– Nie, nikt mnie nie przysłał. Słyszałem pana rozpaczliwy apel o pomoc, gdy jechałem wczoraj z hrabią Beaumont.

Twarz Vidala zmieniła wyraz. Lefebvre widział, jak usta mu drżą, jakby ze wzruszenia. Mężczyzna otworzył szerzej drzwi.

– Proszę wejść. Chcę tylko uprzedzić, że nie mamy wiele do zaoferowania za opiekę lekarską.

– Nie szkodzi. Nie przyszedłem tu dla pieniędzy.

Prowadzony przez głowę rodziny, lekarz przeszedł przez niewielką sien, minął kuchnię i znalazł się w małym pokoiku, w którym znajdowały się łóżko, skrzynia i stare krzesło. W łóżku leżała młoda, może siedemnastoletnia dziewczyna. Była blada, miała opuchnięte oczy i suche usta. Gdy podszedł, nawet nie zareagowała. Oddychała ciężko, jakby każdy oddech był dla niej wielkim wysiłkiem. Lefebvre wyjął z torby drewnianą tubkę i zaczął osłuchiwać dziewczynę.

– Zapalenie oskrzeli – stwierdził w końcu. – Dość poważne.

– O Matko Najświętsza! – jęknęła pani Vidal. – Czy ona z tego wyjdzie?

– To zależy... Nieleczona może przerodzić się w zapalenie płuc, a potem może dojść do przeciążenia innych narządów. Podawajcie córce napary z kwiatu lipy i jagód czarnego bzu, z malin, ponadto wyciąg z kory wierzby. Dziewczyna musi dużo pić, jest odwodniona. Ciepłe napoje powinno jej się podawać co najmniej pięć razy dziennie. Dawajcie jej jeszcze to, ale wymieszane z posiłkiem – rzekł Ludwik, wyciągając kilka małych buteleczek. – Tę tutaj trzy razy dziennie, po dużej łyżeczce. A ten syrop dwa razy dziennie, rano i wieczorem przed snem. To powinno jej pomóc – instruował.

– Jak my się panu odwdzięczymy?! – Pani Vidal miała łzy w oczach.

– Może kiedyś znajdzie się jakaś okazja – odparł lekarz, sam dziwiąc się swoim słowom. Nie mógł przewidzieć, że ta biedna rodzina rzeczywiście kiedyś pomoże mu w jego własnej nędzy.

Świeże powietrze poranka owiało delikatnie twarz pana Lefebvre'a, gdy w towarzystwie hrabiego i kilku służących przemierzał konno las okalający jezioro. Pogoda była piękna, a po błękitnym niebie leniwie płynęły kłębiaste chmury.

– Niech mi pan powie, doktorze Lefebvre, jak się panu podoba życie w zamku? – zagadnął lekarza arystokrata jadący dumnie na swoim skarogniadym kłusaku francuskim.

– Jest inne niż dotychczas. Spokojniejsze, z większą ilością przestrzeni, nader luksusowe, powiedziałbym. Czasami nawet w stopniu

onieśmielającym. W końcu całe życie spędziłem w ciasnym domu lub jeszcze ciaśniejszych bursach studenckich – odparł.

Hrabia zaśmiał się na te słowa.

– Przestrzeń to zaleta prowincji. Musi się pan do niej przyzwyczać. Łatwo się tu zgubić – skomentował. – Czy wie pan, że ten las ma ledwo sto lat? Pierwsze drzewa zasadził tu mój pradziad. Znam to miejsce jak własną kieszeń – dodał, po czym cmoknął głośno i ponaglił konia. Służący ruszyli za nim.

Chwilę później znaleźli się na rozległej polanie. Hrabia zatrzymał wierzchowca i zwinnym ruchem zszedł na ziemię. Dopiero gdy jego nogi stanęły na twardym podłożu, syknął lekko z bólu. Zdjął z ramienia strzelbę, a konia przekazał jednemu ze służących. Drugi sługa przyprowadził kilka ujadających wściekle chartów, trzymanyh do tej pory na smyczach z tyłu pochodu.

– Panie Lefebvre, czy polował pan kiedyś na zające? – spytał hrabia lekarza, ładując strzelbę.

– Nigdy.

– A czy w ogóle polował pan kiedykolwiek?

– Przyznam, że nie.

– Ale umie pan strzelać, nieprawdaż? – dopytywał Beaumont.

– Jeśli mam się przyznać, to słabo – przyznał ze wstydem.

– Zawsze jest ten pierwszy raz – skwitował hrabia ze śmiechem. – Proszę się w takim razie przyglądać i w żadnym wypadku nie wchodzić na linię strzału – dodał.

Powiedziawszy to, dał znak jednemu ze sług i spuszczone charty. Psy z głośnym ujadaniem pognały przez polanę. Hrabia ruszył za nimi powoli, utykając. Kamerdyner Beaumonta, trzymając w dłoni naładowaną strzelbę, popędził za swoim pracodawcą do przeciwległej części lasu, gdzie charty,

wywąchawszy zapach zajęcy, wypłoszyły je z kotlinek. Kilka tłuściutkich szaraków przebiegło przez polanę, kicając wśród wysokich traw. Nie dane im było jednak skryć się w pobliskich zaroślach, gdyż tuż za nimi wyskoczyła para psów, zaganiając je na linię strzału. Hrabia podniósł dubeltówkę i wycelował. To samo uczynił jego lokaj. Rozległy się dwa strzały, po nich dwa kolejne. Gdy dym opadł, hrabia opuścił broń. Z zadowoleniem zauważył, że nie chybił ani razu. Skinął dłonią na kamerdynera, a ten wraz z innym służącym pobiegł przed siebie. Za chwilę wrócili, każdy z nich przyniósł po dwa szaraki.

– Wygląda na to, że będziemy mieli znakomity pasztet i parę zajęcy duszonych w winie – skomentował Beaumont z uśmiechem.

Wracali do zamku z polowania inną drogą, na przełaj przez wschodnią część lasu. Słudzy Beaumonta poszli przodem, pozostawiwszy lekarza i samego hrabiego jedynie w towarzystwie kamerdynera. Im głębiej wchodzili w serce boru, tym większy niepokój ogarniał umysł Ludwika, tym bardziej że lokaj nadal trzymał naładowaną broń. Lefebvre oglądał się za siebie raz po raz, jakby oczekując czegoś, co miałyby go dopaść. Zastanawiał się, czy hrabiego doszły wieści o jego wizycie w domu państwa Vidal. Beaumont, dostrzegłszy niepokój lekarza, uśmiechnął się.

– Proszę o wybaczenie, że nie wracamy krótszą drogą. Widzieliśmy już winnice i pobliskie wsie, a ja chciałem panu pokazać jeszcze nasz las. On również ma długą i ciekawą historię – rzekł.

– Tak? A jaką to?

– Mój daleki przodek wybudował na tych ziemiach, w starej części lasu, swoją pierwszą rezydencję, gdy wrócił z wyprawy krzyżowej. Pragnął spokoju, życia w zgodzie z naturą. Dopiero kilka lat po powrocie

zdecydował się na rozpoczęcie budowy Château d'Azur. Niech pan spojrzy na tamten pagórek. Nadal widać ruiny tego pierwszego domu. A pierwsze osady w tej okolicy podobno powstały już w czwartym wieku przed naszą erą. Dawniej na polach za lasem można było znaleźć celtyckie przedmioty codziennego użytku – opowiadał hrabia.

Lefebvre rozejrzał się wokół siebie. W gąszczy rzeczywiście dojrzał resztki ścian i porozrzucone tu i ówdzie potężne kamienie. Gdy jednak zwrócił wzrok na lewo, z dala od ścieżki, którą się poruszali, dojrzał parę prowizorycznych krzyży.

– Czy ktoś tutaj zginął? – zapytał z zaciekawieniem.

– I to niejedna osoba. Wie pan, w tych lasach chronili się arystokraci, zwolennicy monarchii i ich rodziny podczas najkrwawszych wydarzeń rewolucji – zaczął opowiadać hrabia. – Wielu z nich musiało tu nawet przetrwać zimę w godnych pożałowania warunkach. I wszyscy byliby pewnie umarli z głodu, bo zwierzyny w lasach było wtedy jak na lekarstwo, gdyby pewnego dnia ich ziemianki nie nawiedziło stado przepiórek. Również i jezioro wypełniło się cudownie rybami. Opowieści głoszą, że widziano w tamtym czasie ducha zmarłej królowej, Marii Antoniny, a także pewnego pobożnego kapłana przechadzających się po leśnej polanie. Podobno to modłom i ich wstawiennictwu uciekinierzy zawdzięczali pomoc z niebios.

– I pan wierzy w te opowieści? – spytał Ludwik, gdy nagle przed nimi było widać jasną przestrzeń między drzewami, niczym wyjście z tunelu. Powoli wychodzili na kolejną leśną polanę.

– Czy wierzę? Nie wiem, nie było mnie tu, my ukrywaliśmy się w zamku, dzięki Bogu. Mówię tylko, co usłyszałem. Ale jedno jest pewne: moja siostra nie przeżyłaby porodu, gdyby nie pomoc kilku pobliskich znachorów, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności akurat zapędzili się w tę

część lasu. Dlatego pozwoliłem im się tutaj osiedlić – rzekł hrabia i zatrzymał się, spoglądając przed siebie. Ludwik obrócił wzrok w tamtą stronę. Ujrzał skromną drewnianą chatkę, otoczoną drewnianym płotem.

– Znachorzy? – nie ukrywał zdziwienia Lefebvre. – To we Francji są jeszcze tacy? Mam nadzieję, że pan, panie hrabio, kierując się rozsądkiem, z każdą dolegliwością zgłosi się najpierw do doświadczonego lekarza.

Beaumont uśmiechnął się na te słowa.

– Gdy nauka nie pomaga, każdy chwyta się, czego może – odparł tajemniczo. – À propos medycyny i lecznictwa... Doszły do mnie słuchy, że odwiedził pan domostwo Vidala... Tego samego, którego przykazałem panu zignorować – dodał hrabia, a jego twarz spoważniała. – Proszę więcej nie kwestionować moich poleceń ani mi się nie sprzeniewierzać. Pracuje pan dla mnie i to ja decyduję, kogo pan leczy, a kogo nie. Czy to jasne?

Zmierzył lekarza stanowczym spojrzeniem. Ludwik miał wrażenie, że również najbliższy sługa hrabiego przysunął się do niego na koniu o parę metrów bliżej, zbyt blisko... Martwiła go naładowała strzelba lokaja. Przełknął ciężko ślinę. Wiedział już, że powrót do mieszkania wychudzonego mężczyzny i jego córki z kolejną porcją niezbędnych leków nie będzie taki łatwy. Może nawet okazać się niebezpieczny.

Gdy po całym popołudniu spędzonym z pracownikami winnicy Lefebvre wracał do swojej komnaty w zamku, zmierzchało. Całą drogę powrotną lekarz myślał nad słowami hrabiego. Czy rzeczywiście powinien odpuścić sobie leczenie córki Vidala, zgodnie z życzeniem swojego pracodawcy? Sumienie mu na to nie pozwalało. Po głowie krążyły mu różne pomysły na to, jak mógłby niepostrzeżenie opuścić zamek i dostać się do wioski, żadne jednak koncepty ostatecznie nie wydawały mu się

dostatecznie dobre i bezpieczne. Martwił się o tę biedną, Bogu ducha winną dziewczynę.

Mijając z zapaloną świecą puste teraz korytarze części mieszkalnej zamku, Ludwik usłyszał w pewnym momencie odgłosy kłótni między hrabią a hrabiną. Zastygł na szczycie schodów, za dębowym rzeźbionym stolikiem z marmurowym popiersiem jakiegoś rzymskiego filozofa, i nasłuchiwał. Wśród wielu niezrozumiałych wypowiedzianych w złości zdań wyraźnie usłyszał tylko dwa:

– I do niczego się nie nadajesz... Nie jesteś w stanie nawet dać mi potomka.

Zdanie to padło z ust hrabiego. Zaraz potem rozległ się gniewny okrzyk hrabiny, trzask drzwi, a po nim dźwięk tłuczonej porcelany. Podłoga zadudniła od kroków rozsierdzonego Beaumonta, który mimo przebytej przecież niedawno kontuzji poruszał się zadziwiająco szybko i to... bez laski. Niemal ze zwinnością lisa przemknął obok kolejnych komnat, by w końcu wpaść do własnej sypialni. Z impetem zatrzęsął za sobą drzwi. Zadziwiło to Ludwika. Jego uwagę przykuło jednak co innego. Rzewny płacz hrabiny. Brzmiał on tak rozpaczliwie i boleśnie, że lekarz miał ochotę zapukać do jej drzwi i przytulić ją, pocieszyć. Wiedział jednak, że byłoby to niestosowne. W końcu to zamężna kobieta. A on nie ma prawa ingerować w to małżeństwo, przekraczać progu jej komnaty choćby po to, aby osuszyć jej łzy. Mimo wszystko było w tej damie coś, co przyciągało go niczym magnes, rozpalało w nim uśpione dotąd zmysły. Czy zamieszkanie w Château d'Azur na pewno było dobrym pomysłem?

Dalsza część w wersji pełnej

* Brama – kratka drewniana (zwykle okuta żelazem) lub żelazna zamykająca wejście przez bramę w murze obronnym lub zamku.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spis treści

Część pierwsza: Doktor Ludwik Lefebvre

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi